ROK CZWARTY.

№ 7.

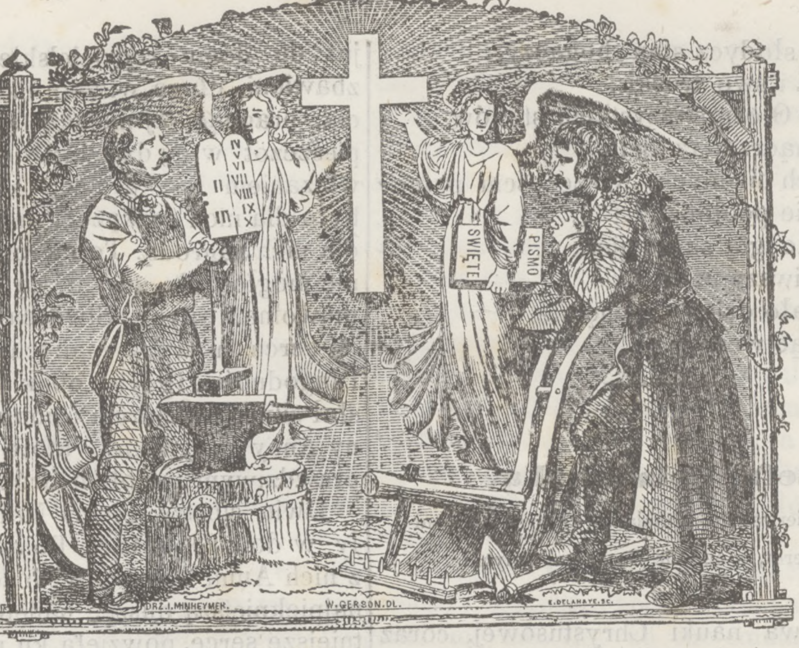
WARSZAWA

D. 1 (13) Lutego

1859.

Niedziela

6ta po Trzech Królach.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnéj Nr. 1527.

Prenumerata rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie kop. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Spraw, prosimy Cię Wszechmocny Boże, iżbyśmy będąc zawsze zajęci roztropnemi a świętemi myślami, wykonywali i w słowach i w uczynkach to, co Tobie się podoba. (Kollekta na Niedzielę 6tą po 3ch Królach.)

Haftarka.

—

Siadło dziewczę u okienka
Z pierwszym blaskiem ranka,
Kędy stały jej krosienka,
A w krosienkach tkanka
Taka lekka, przezroczysta,
Jak z pajęczych nitek,
Potrzeba z niej nie skorzysta,
Ale tylko zbytek.
I ruchami zręcznej rączki,
Zwrotami szybkiemi
Siało dziewczę listki, pączki
Jedne za drugiemi;
I samotne w rannej dobie
Pochyliwszy głowę,
Taką wszczęło samo w sobie
Cichą myśli mowę:
„Jakże też to wola Boska
Dziwnie rządzi światem!
Jednych gnębi smutek, troska,
I zimą i latem;
W ciężkich trudach nad robotą,
Trawić muszą lata,
Kiedy innym dolę złotą
Samo szczęście splata.
O! ileż i dla mnie trudów
Snuje dola czarna;
Tyle pracy, tyle nudów,
A jak korzyść marna!
Boże, Boże! cóż ja plotę,
Cóż za myśli wiję,
Z czyichże rąk mam robotę,
Czyim chlebem żyję?
Raczej winnam złożyć dzięki
Przed łaskawem Niebem,
Że ze szczodrej Stwórcy ręki
Skromnym żyję chlebem.
Kto bez pracy chce kołaczy,
Gwałci rozkaz Boski;

Ma swą słodycz stan bogaczy,
Lecz ma i swe troski.
Bóg jest Ojcem wszystkich stanów,
On najmądrzej rządzi;
W losach biednych, w szczęściu panów
Nigdy nie pobłądzi.“
I migając igłą skrzętnie,
Rozjaśniwszy czoło,
Pracowało dziewczę chętnie,
Śpiewając wesoło.

Józefa Polanowska.

Założycielka pierwszego szpitala dla chorych i przytułku dla sierot, w mieście Łucku na Wołyniu.

—

Bogata niwa nauki Chrystusowej, coraz nowe przedstawia nam wzory na niej wypielęgnowane, które historya zapisując w swych kartach, uwiecznia imiona cichych pracowników w winnicy Pańskiej. W krótkim przeciągu czasu podaliśmy ich kilka w piśmie naszem, jedne wydobywając z ukrycia, inne wyrywając z zapomnienia, dla przedstawienia ich za przykład nowemu pokoleniu. Do rzędu ostatnich należy życie pełne poświęcenia i cnót chrześciańskich *Józefy Polanowskiej*, założycielki i opiekunki pierwszego domu schronienia i szpitala dla kalek i chorych, oraz przytułku i szkółki dla ubogich sierotek w mieście Łucku na Wołyniu, skreślone według opisu, przez panią A. B. jednę z jej wychowanek pozostawionego. (1).

Józefa Polanowska była córką Jana i Joanny z Woroniczów Polanowskich starostwa Pomorskich (2). Pierwsze lata swego dzieciństwa spędziła u rodzonej swej ciotki hr. Łosiowej, wpośród dostatków i pieszczot. Oddana przez nią na pensyę do Lwowa, chlubnie ukończyła w niej nauki i powróciła wprost już do domu rodzicielskiego. Rodzice pozbawieni długo widoku ukochanego dziecięcia, pragnąc jej niejako wynagrodzić stratę pieszczot w jej dzieciństwie, otoczyli ją przywiązaniem bez granic; każde jej życzenie było dla nich rozkazem, jeden jej uśmiech był dla nich nagrodą. To nieroztropne przywiązanie mogło było uczynić ją złą, kapryśną, samowolną, gdyby Stwórca nie był złożył w jej sercu niewyczerpanych skarbów dobroci i łagodności, i gdyby obok tego nie był jej zesłał silnego wsparcia i pomocy w osobie panny Anny Małyńskiej, która stała się dla niej prawdziwym aniołem-stróżem.

Dwie siostry panny Małyńskie przebywały w domu państwa Polanowskich; starsza z nich Anna widząc w Józefie Polanowskiej najpiękniejszą duszę, najlepsze i najszlachetniejsze serce, powzięła ku niej silne przywiązanie, miłość prawie macierzyńską. Wkrótce pomimo znacznej różnicy wieku, zawiązała się między niemi najszczersza przyjaźń; pod jej to opiekuńczemi skrzydłami rozwijając się ku dobremu dusza młodziutkiej Józefy, uczyniła ją wzorem dobroci i uprzejmości, przez którą pozyskała powszechną miłość, tak dalece, że rodzeństwo jej nietylko nie uczuwało żadnej zazdrości z powodu okazywanego jej większego przywiązania rodziców, lecz nawet chlubiło się zawsze swą siostrą.

Głośne jej przymioty obok wdzięków ciała, sprowadziły jej licznych wielbicieli; byli między współubiegającymi się do jej ręki synowie najzacniejszych rodzin, młodzieńcy pełni zalet, wszakże serce Józefy pozostało zimnem na ich zabiegi. Snać Bóg przeznaczając je na umiłowanie całej ludzkości, uczynił nieczułem na miłość jednego tylko obejmującą człowieka.

Rozważna nad wiek swój lubo swobodnie wesoła, unikała głośnych zabaw; najmilszem jej zajęciem było wyszukiwanie z panną Małyńską cierpiących, aby im nieść ulgę, pomoc i pociechę. Tam dusza jej przy łożu boleści nabywała potrzebnego hartu, tam poznawała ona znikomość doczesnych starań i zabiegów i wznosiła się ku Bogu jako jedynemu źródłu prawdziwej pociechy i niczem niezmąconego szczęścia.

W tem usposobieniu jej duszy dotknął ją cios bolesny; przyjaciółka jej i przewodniczka

---

(1) W tomie drugim Rozrywek dla młodocianego wieku z rz. znajduje się artykuł poświęcony pamięci tejże samej Józefy Polanowskiej, obejmujący krótki rys jej życia; że jednak materyał, z którego czerpiemy, obejmuje nierównie więcej szczegółów jej życia, uważaliśmy więc za powinność takowe do wiadomości czytelników naszych podać. Dla osób, którym powołany artykuł nie jest obcym, niniejszy będzie pewnym rodzajem dopełnienia.

(2) Data urodzenia Józefy Polanowskiej podaną nie została, zdaje się, iż się urodziła około roku 1770.

Anna Małyńska ciężko zachorowała. Przez ciąg długiej choroby Józefa nie odstępowała jej na chwilę, wszelkie posługi spełniała z rozkoszą, dzień i noc czuwała u łoża chorej przyjaciołki, i wtedy to powzięła stanowczy zamiar poświęcenia się pielęgnowaniu chorych i cierpiących. Ta też myśl była jedyną pociechą i osłodą po stracie przyjaciołki, którą ani troskliwość lekarska, ani poświęcenie przyjaźni uratować nie zdołały. Po trzynastu miesiącach cierpień zgasła Anna Małyńska, pozostawiając niezagojoną ranę w sercach tych wszystkich, co ją bliżej znali.

Od chwili śmierci przyjaciołki przemyśliwała panna Polanowska nad spełnieniem powziętego zamiaru, wreszcie postanowiła zwierzyć się z tem ojcu. Jakoż objawiła mu wkrótce zamiar zostania siostrą Miłosierdzia, nie wątpiąc, że ojciec, który jej nigdy niczego nie odmówił, chętnie się do żądania jej przychyli. Ale tym razem doznała zawodu; ojciec, czy że inne względem niej miał zamiary, czy że postanowienia jej uważał za przemijające, powzięte pod wrażeniem świeżej straty przyjaciołki, dosyć, że stanowczo i bezwarunkowo prośbie jej odmówił.

Jakkolwiek odmowa ojca przykre w sercu jej zrodziła uczucie, wszakże jako posłuszna córka poddała się wyrokowi jego z uległością. Wypadek ten przecie nie został bez wpływu; ojciec bolał nad tem, że córce przykrość sprawił, ona zaś zrażona odmową, przystępowała doń odtąd z pewną nieśmiałością. Tymczasem zgłaszali się nowi zalotnicy o jej rękę; rodzice nalegali o uczynienie wyboru, ale Józefa trwając w powziętym zamiarze, oświadczała stanowczo, iż za mąż nie pójdzie.

Tak upłynął rok cały, a położenie jej z dniem każdym stawało się trudniejszem, gdyż czuła, że rodzicom serce rani, a jednak życzeniom ich zadosyć uczynić nie może. Chcąc nakoniec wyjść z tego nieznośnego położenia, udała się do JK. Jana Kantego Podhorodeńskiego, oficyała Łuckiego, przyjaciela i krewnego rodziców, przed którym otwierając stan swej zbolałej duszy, jedyną ulgę i pociechę w poświęceniu się cierpiącej ludzkości upatrującej, błagała go o radę i wstawienie się do ojca.

Szanowny ten kapłan jakkolwiek silne okazywał jej współczucie, oświadczył jednakowoż, iżby bez wyraźnej woli rodzicielskiej tak ważnego kroku uczynić się nie ważyła; z drugiej zaś strony, wyjednał tyle u ojca, iż ten jakkolwiek obstawał stanowczo, aby córka sukni zakonnej nie wzięła, zgodził się jednak na przebywanie jej czasowe w Łucku, dla spełniania czynów miłosierdzia.

Silna wiarą w Opatrzność, wybrała się panna Polanowska do Łucka; ksiądz Podhorodeński, przy którym wtedy najwyższa zwierzchność duchowna, jako oficyale generalnym pozostawała, oddał do jej rozporządzenia opustoszały dom, należący do katedry, a składając na jej ręce pierwszą ofiarę dla szpitala, w kwocie 12 dukatów na sprawienie **12** łóżek dla chorych, dodał:

— Łóżka każesz do przeznaczonego domu znieść i ustawić, chorych ci nie zabraknie; samaś mi mówiła, ze nic smutniejszego nad Łuck, kroku zrobić nie można, aby nie ujrzeć chorego lub trupa na ulicy — niechże pod przewodnictwem twojem ten nieporządek ustanie. Masz dosyć funduszów na własne utrzymanie i zaposiłkowanie w koniecznej potrzebie; zresztą ufaj Opatrzności, która dała ci w pomoc przyjaciół, miłość u ludzi i wziętość, a temi środkami wiele zdziałać można; wytrwaj w rozpoczętem dziele, a zadosyć uczynisz powołaniu twojemu.

Pokrzepiona temi słowy, zajęła się czynnie urządzeniem i uporządkowaniem lokalu. Zaledwie ustawiono łóżka, a już zjawiła się pierwsza chora, której gdy nie można było złożyć na łóżku dla braku pościeli, wybiegła sama panna Polanowska na miasto do znajomych, i wnet całkowitą pościel zniesiono. Tak szczęśliwy początek dodał jej serca; przyjęła zaraz dwie kobiety, jednę do zarządu i gospodarstwa, drugą do pomocy; w ciągu trzech dni wszystkie łóżka zajęte zostały. Wojewodzina Leduchowska, o milę tylko od Łucka mieszkająca, na pierwsze wezwanie panny Polanowskiej obficie spiżarnię zaopatrzyła i kilka sztuk płótna przysłała. W ten sposób zabezpieczywszy najgwałtowniejsze potrzeby swego zakładu, wróciła do rodziców, takoż o milę od Łucka mieszkających, zkąd robiąc wycieczki dla jałmużn i kwesty, co tydzień szpital swój odwiedzała.

Przywykał pomału ojciec do tego rodzaju zajęć i częstej nieobecności córki, i coraz ją

mniej z Łucka odrywał. Tym sposobem w 24m roku życia, stanęła panna Polanowska na czele zakładu, początkowo dla chorych i kalek utworzonego, ale który z czasem miał objąć i inne rodzaje miłosierdzia, gdyż nie sami tylko chorzy i kalecy, ale wszyscy potrzebujący, czułe jej serce zajmowali.

Wbliższem zetknięciu się z ubogą ludzkością miała sposobność poznać, ilu złego brak oświaty w tej klassie staje się powodem; pojęła ona, że jedynie przez pobożne i cnotliwe wychowanie dziewcząt, córek tego ubóstwa, na dobre żony i matki, wpłynąćby można najskuteczniej na poprawę jego obyczajów. Postanowiła więc, chociaż w szczupłym zakresie myśl swą urzeczywistnić przez założenie obok szpitala przytułku i szkółki dla ubogich sierot. A że u panny Polanowskiej każda myśl zacna wnet się w czyn zamieniała, wkrótce więc i zamierzony przytułek i szkółka przyszły do skutku. W przytułku znajdowały schronienie pozbawione opieki sieroty, w szkółce bezpłatną obok nich naukę przychodnie dziewczęta, córki biednych rzemieślników i wyrobników. Nauka ta jednak ograniczać się musiała na wykładzie katechizmu, oraz początków matematyki, czytania, pisania i wreszcie kobiecych robótek odpowiednio do przyszłego zawodu i potrzeb uczennic. (1).

Taki był początek szkółki, która następnie rozwinęła się znakomicie. Cały Wołyń nie posiadał wtedy żadnej wyższej szkoły żeńskiej; bolało więc serce p. Polanowską, ile kroć zwróciła uwagę swoję na mniej zamożnych rodziców, niebędących w stanie córek swych za granicę, albo na pensyę do odległego Lwowa lub innego większego miasta posyłać, ani wreszcie ponosić kosztów na utrzymywanie po domach guwernerów i guwernantek. Obok tego znała bardzo dobrze, ile cudzoziemskie wychowanie przynosi krajowi szkody przez wpajanie w młode umysły lekceważenia wszystkiego, co ojczyste, a zamiłowania obczyzny; przez spaczenie młodej wyobraźni i zobojętnienie jej na przepisy religii, będącej niezbędnym warunkiem do istotnego szczęścia i podstawą narodowego u nas wychowania. Mając rozległe stosunki i znajomości ze wszystkiemi prawie domami na Wołyniu, posiadając przytem dar wzbudzania ku sobie ufności, znała lepiej niż kto inny, ile podobne wadliwe wychowanie wyrządziło już złego tamtej okolicy; dlatego radaby była z duszy, to złe, o ile było w jej mocy, naprawić.

Na początek wzięła do siebie kilka panienek, po większej części córek szlacheckich podupadłych rodzin. Pierwszemi jej uczennicami były: panna *Skomorowska* i dwie panny *Lenkiewicz*, których ojcowie zesłani zostali na Syberyę za przewinienie polityczne; czwarta wychowanka, z której pamiętnika wiadomości te czerpiemy; piąta wreszcie panienka znakomitego domu, ale tak dalece uboga, że utrzymywaną być musiała kosztem instytutu. Później przybywało coraz więcej panienek na naukę za opłatą wedle możności. Nie czyniła p. Polanowska pomiędzy swemi pensyonarkami najmniejszej różnicy, chociaż bywały niektóre i wysokiego rodu i hojnie opłacane; i owszem uboższe częściej bywały wybranemi dziećmi jej serca.

Jak za utworzeniem szpitala przez p. Polanowską ofiarowali usługi swoje bezpłatnie miejscowi lekarze, pp. Wykisaty, Petheyder. później Pawsiewicz, a nawet słynny doktor Lernet z Dubna, tak też i za otwarciem nowej szkoły pospieszyli z podobnąż pomocą duchowni i świeccy nauczyciele, pomiędzy innymi K. Paweł Bossakowski, K. Piotr Madrotle francuski emigrant, a po nim K. Vassaut, dalej p. Żechowicz professor szkół Łuckich i wielu innych.

Pomnażające się z jednej strony na zakłady p. Palanowskiej liczne dary, oraz składki stałe i jednorazowe, wpływy z opłaty od pensyonarek i t. p., z drugiej znów rozszerzona administracya, zwiększona liczba chorych, kalek, sierot i uczennic, wywołały potrzebę przybrania doradcy, a raczej pomocnika, zwykle dyrektorem lub prokuratorem zwanego. Obowiązki te przy wspomnionych zakładach sprawowali kolejno z niezmordowaną gorliwością i poświęceniem: najprzód K. Ignacy Mioduszewski, następnie po jego śmierci nastąpionej w r. 1808 K. Marcin Bossakowski do r. 1815, wreszcie po śmierci tego ostatniego K. Marcin Krzyżanowski, za którego prokuratorstwa nastąpiła śmierć założycielki.

Porządek zaprowadzony w tym instytucie

(1) Podobny zakład istnieje od lat przeszło 4ch w Warszawie, pod nazwą przytułku Sgo Wincentego à Paulo.

grzeszył może brakiem pewnego układu, nie był może bez błędów, utworach ludzkich nieuniknionych, ale gorliwość wszystkich bez wyjątku współ-pracowników, niedostatek ten sowicie wynagradzała; obok tego, święty zapał miłości Boga i bliźniego p. Polanowskiej wszystko ożywiał i wszystkiemu pewien wdzięk nadawał.

Do pomocy w licznych zatrudnieniach swoich miała p. Polanowska pannę Konstancyę *Tarszyńską*, którą sprawiedliwie wzorem świątobliwości nazwać było można. Była ona poprzednio karmelitanką bosą w Przemyślskiem, w Galicyi Austryackiej, zkąd po zniesieniu klasztoru powróciła do matki, żałując ciągle, iż pomimowolnie pozbawioną została spokojnego szczęścia, jakiego używała w klasztorze, spędzając czas na modlitwie i pełnieniu dobrych uczynków. Przybyła z matką na mieszkanie do Łucka, wtedy właśnie, kiedy p. Polanowska instytut swój zakładała. Obiedwie jednym duchem ewangelicznym tchnące, wkrótce się poznały, wzajemny szacunek zrodził zaufanie, zaprzyjaźnienie i stowarzyszenie się. Wtedy obiedwie wzięły się wspólnie do dzieła i obowiązki rozdzieliły pomiędzy siebie w ten sposób, iż p. Polanowska przyjęła na siebie ogólny zarząd i kierunek zakładu, oraz opiekę nad chorymi i wychowankami, zaś p. Tarszyńskiej dostał się wyłączny nadzór nad szkołą, sierotami i pensyonarkami.

Z jaką pieczołowitością zajmowała się p. Polanowska chorymi, dość przytoczyć, iż zawsze była obecną przy każdej ważniejszej operacyi, i siedząc przy łożu boleści, dodawała chorym otuchy, krzepiąc ich dusze i serca słowami Pisma świętego; przy najczulszem bowiem sercu posiadała męztwo prawdziwie heroiczne.

Chorzy ubodzy, nie mogący być pomieszczeni w szpitalu otrzymywali od niej pomoc we własnych mieszkaniach, tak w lekarstwach jak i innych potrzebach. Obłąkani nawet i podrzutki znajdowali u niej przytułek i opiekę; nie było bowiem w jej sercu granicy litości i miłości bliźniego— nie czyniła też żadnej różnicy pomiędzy ubogimi, każdy zarówno doznawał od niej wsparcia, skoro go tylko potrzebował.

Do tych pięknych czynów dodać należy jeden, o którym już po jej śmierci pewna dama z rozczuleniem i wdzięcznością opowiadała.

„Urodzona z rodziców majętnych, wychowana w pieszczotach i dostatkach, są słowa tej damy, skutkiem rozmaitych nieszczęść znalazłam się w Łucku sama, złożona chorobą i bez żadnego funduszu. Do panny Polanowskiej udać się nie chciałam, bo mnie źle o niej uprzedzono; smutne wszakże moje położenie, równie jak i moja względem niej niechęć doszły wnet do wiadomości tej anielskiej istoty. Pragnąc ona bądź co bądź przyjść mi w pomoc, a nie upokorzyć, bierze na siebie odzienie prostej wieśniaczki, i tak przebrana pielęgnuje mnie w chorobie, przynosi mi posiłek, lekarstwa i pieniądze, powiadając zawsze, że wszystko to czyni z rozkazu swoich państwa, których wszakże nazwiska wyjawić jej niewolno. Zajęta ciekawością, tem więcej, że obejście i wysłowienie jej nie zgadzało się z ubiorem, jak tylko przyszłam nieco do siebie, zaczęłam ją pilnie śledzić, i tą drogą dowiedziałem się dopiero, kto był moją opatrznością. Musiałam jednak jej przyrzec zachowanie najściślejszego o tem milczenia, od którego mnie dopiero śmierć mojej dobrodziejki zwolniła. Wtedy to przekonałam się, dodawała owa dama, że i najcnotliwsze osoby, nie są wolne od pocisków potwarzy.“

W wyższej szkole p. Polanowskiej, przychodzący godzinami nauczyciele niepłatni, oraz płatni metrowie uczyli języków, rozmaitych umiejętności, muzyki i t. p., ale kształceniem serc swych wychowanek zajmowała się sama p. Polanowska; a takie swoim taktem, dobrocią, przywiązaniem i troskliwością o dobro powierzanych sobie dziewic, umiała zjednać w nich miłość i zaufanie, że ją wszystkie jakby rodzoną kochały matkę. Ukrycie przed nią jakowego przewinienia poczytywały za większe złe niż samo przewinienie, a kara choćby najsurowsza zdawała im się znośniejszą, nad myśl, że jej dały powód do nieukontentowania lub zmartwienia. Nie dziw więc, że pod takim wychowane kierunkiem młode te osoby, stały się z czasem wzorem cnót domowych i obywatelskich.

Dla zbyt szczupłych ram niniejszego pisma niepodobna nam podać wszystkich szczegółów, dotyczących sposobu postępowania panny Polanowskiej z uczennicami; ograniczyć

się więc musimy na tem, cośmy wyżej w tej mierze przywiedli, nie wątpiąc, że i te kilka rysów dadzą czytelnikom dostateczne wyobrażenie o poświęceniu tej zacnej naszej rodaczki.

Śmierć panny Tarszyńskiej przyjaciołki i współ-pracowniczki p. Polanowskiej, nietylko że zraniła boleśnie czułe jej serce, ale nadto pozbawiła ją najgorliwszej pomocniczki. Odtąd podwójny ciężar spadł na barki samej panny Polanowskiej, ogrom pracy wpłynął niekorzystnie na delikatne jej zdrowie, które też widocznie upadać zaczęło.

Pomimo to nie folgowała ona sobie bynajmniej; czynna jak zawsze, dawała oko na wszystko, zakłady jej dobroczynne rozwijały się ciągle, i tak np. w dniu śmierci panny Polanowskiej szpital jej obejmował do 150 chorych. Niejeden z czytelników zapyta pewnie z zadziwieniem, jakim cudem jedna kobieta do tego niemajętna, wydołać potrafiła ogromnym wydatkom trzech aż zakładów? Na to odpowiemy, iż cud ten miłość bliźniego i wiara w Opatrzność sprawiły. Ludzie miłosierni widząc szlachetny cel i dobroczynne skutki usiłowań zacnej założycielki, spieszyli jej skwapliwie z pomocą; niepodobna nam wymienić wszystkich ofiar, przywiedziemy więc tylko znaczniejsze. I tak: zaraz po założeniu szpitala Xna Jabłonowska starościna Kowelska przyjęła na siebie obowiązek opłacenia apteki; Ignacy Karnicki zapisał 10,000 złp., od których procent był pierwszym stałym rocznym dochodem; hr. Moszyński dawał corocznie aż do swojej śmierci po 2,000 złp., Xna Dominikowa z Mniszchów Radziwiłłowa hojnie opatrywała zakłady swemi darami, Xdz Biskup Cieciszewski niemniejszym był dobrodziejem.

Z rozszerzeniem się rozgłosu po kraju o błogich owocach prac p. Polanowskiej, posypały się ofiary z najdalszych prawie prowincyj: z Podola, z Kijowskiego, z Litwy, z Królestwa i z Galicyi. Najjaśniejsza Marja Fedorówna (Cesarzowa Matka) powziąwszy wiadomość o poświęceniu się p. Polanowskiej ofiarowała jej swą opiekę, a nadto obok daru 1000 rubli assygnacyami, w nagrodę zasług przysłała jej order. Wdzięcznie przyjęła opiekę i dar panna Polanowska, orderu wszakże przez wrodzoną skromność nigdy nie nosiła. (1).

Krótko przed śmiercią p. Polanowskiej, kiedy już bardzo na siłach upadła, a liczba wychowanek znakomicie się powiększyła, kiedy niepodobna jej było dojrzeć wszystkiego własnem okiem, wcisnęły się do jej zgromadzenia, jak Judasz do grona apostołów, uczennice, miłujące próżność, lenistwo, skrytość i obłudę; i te postępowaniem swojem, przynosząc zakał instytutowi, zatruły goryczą ostatnie lata życia zacnej opiekunki. Czynione z tego powodu przyjazne uwagi, że przyjmowanie tak znacznej liczby wychowanek czyni niepodobnem utrzymanie należytego porządku i czujnej pilności, przemawiały wprawdzie do jej przekonania, ale nie przemawiały do serca nieograniczenie litościwego dla wszystkich do niej uciekających się.

Dla zapewnienia trwałości swemu dziełu odziedziczone po ciotce swej jenerałowej Jakubowskiej pierwszego ślubu Łosiowej, u której się w dzieciństwie wychowywała, złp. 180,000, zapisała p. Polanowska na wieczny fundusz dla założonego przez siebie szpitala, otrzymany zaś posag od rodziców w summie 30,000 złp. rozdzieliła testamentem pomiędzy ubogich.

Smierć jej, która nastąpiła w pierwszych dniach czerwca 1829 r., była śmiercią sprawiedliwej chrześcianki; do ostatniej chwili zachowała zupełną przytomność. Po przyjęciu świętych sakramentów, twarz jej zajaśniała niebieską pogodą i anielski uśmiech zabłysł na ustach, w chwili, kiedy Bogu ducha oddawała. Zdawało się widzieć na jej obliczu nie śmierć, ale słodki spoczynek; tylko jęki otaczających jej łoże, poznać dawały, że cnotliwa jej dusza opuściła już ciało, aby pójść po nagrodę do tronu Przedwiecznego, za życie trudów i poświęceń.

(1) Każdego wieczora, mówi pani A. B. w swym rękopiśmie, winnyśmy były zdawać pannie Polanowskiej rachunek ze spraw całodziennych, złych, dobrych, a nawet obojętnych, która je notowała w odzielnym na to przeznaczonym dzienniczku. Co miesiąc następował obrachunek; jeżeli dobre postępki przeważały, w nagrodę otrzymywałyśmy do noszenia różowe szarfy, celująca zpomiędzy dobrych była gospodynią dawanego tego dnia podwieczorku i ozdobioną zostawała gwiazdą złocistą; która zaś nieszczęściem narachowała więcej złych niż dobrych krések, ta musiała nosić czarną wstążkę na głowie, lecz nigdy nie wychodziła z nią na ulicę, ażeby ludzie o niej nie powzięli raz na zawsze złej opinii.

Cała ludność miejscowa, bez różnicy stanów i wyznań towarzyszyła jej zwłokom na miejsce wiecznego spoczynku, a łzy wdzięczności i żalu ubogich i sierot wylane na jej grobie, stały się najpiękniejszym pośmiertnym dla niej pomnikiem.

Modrzew.

Drzewo to należy do gromady drzew iglastych, to jest takich, których liście są wązkie, długie, do igieł lub szpilek podobne. Modrzew należy do najwyższych drzew iglastych, przy dobrem utrzymywaniu może stać na pniu lat 300; jednakże zwyczajna jego trwałość we względzie ekonomicznym naznacza się lat 80 do 100. Piękne to i okazałe drzewo rośnie w górzystych okolicach Europy, pospolitem jest w Alpach i w Karpatach. Obficie kiedyś rosło u nas, a szczególniej w Sandomierskiem i Krakowskiem stanowiło znaczną część lasów; lecz złe gospodarstwo pozbawiło nas prawie zupełnie tego najużyteczniejszego drzewa między iglastemi. Dzisiaj gdzieniegdzie tylko spostrzegamy w kraju naszym modrzewie, a jednak nazwiska wsi: Modrzejowice, Modrzejów i t. d. dotąd pozostałe, świadczą o obfitości drzew modrzewiowych w tych okolicach. Wytrzymałość drzewa modrzewiowego na wszelkie zmiany powietrza, tudzież i ta szacowna jego własność, że go owady mniej toczą, jak inne iglaste, była bez wątpienia przyczyną, że go najwięcej używano w budownictwie, jakoto w wielu miejscach Świątynie Pańskie i najpierwszych osób w kraju domy budowano z niego. W powiecie Opoczyńskim koło Goździkowa widać jeszcze wielkie drzewa modrzewiowe, wznoszące się nad inne drzew gatunki.

Owoc czyli szyszka modrzewiu jest kształtu czopka, jeden cal długiego a $^3/_4$ cala grubego; składa się z łusk na siebie zachodzących, a pod każdą łuską znajdują się dwa orzeszki nasienne, które w październiku dojrzewają, a wypadają dopiero w końcu kwietnia roku następnego.

Igły na wiosnę wyrastają na modrzewiu kupkami, a w jesieni igły te opadają, jak liście z drzew liściowych; w czem się modrzew różni od innych drzew iglastych, w których igły nie opadają w jesieni, trwają przez zimę i dopiero w drugim roku przed zimą opadają. Modrzew udaje się na gruncie świeżym z gliny i piasku złożonym, pomieszanym z marglem i kamieniami. Mrozów i ostrych wiatrów nie znosi, dlatego też najlepiej się udaje na wzgórzach osłonionych wyższemi górami.

Ponieważ u nas późne mrozy jeszcze w połowie maja się zdarzają, i takie delikatnym wschodzącym drzewkom szkodzićby mogły, przeto do siewu modrzewi należy się dopiero zabierać w kwietniu. Nasienie modrzewiu do siewu miesza się z trzema częściami ziemi i zasiewa w rowki trzy stopy od siebie odległe, szerokie 3 cale i do 2 cali głębokie, poczem nogą zagarnia i przydeptuje. Cztery funty nasienia wystarcza do zasiania tyle gruntu, ile się zorze parą wołów na dzień. Młode drzewka pokazują się w 4 lub 5 tygodni po zasianiu z 5 lub 6 igiełkami, a na wierzchu widzieć się daje łupinka. W pierwszym zaraz roku wyrastają na 4 cale, w drugim idą w górę do 8 cali, w 4ym zaś już na 3 stopy są wysokie. Młode modrzewki z ostrożnością przesadzać trzeba, najlepsze do tego będą trzyletnie. Wydobywać je należy wraz z ziemią około korzonków będącą, nie przerywając drobnych korzonków. Tak wydobyte sadzić należy tego samego dnia, a jeżeli dalej przesyłane być mają, należy dobrze mchem opakować korzonki. Najlepszy czas do przesadzania wszystkich drzew iglastych jest przed pękaniem pączków. Przesadzają się w linii prostej o 3 stopy jedno drzewko od drugiego.

Ponieważ wiele zależy na dobrem utrzymaniu modrzewiu, trzeba więc uważać, aby ile możności rosł w cieniu, i starać się, aby się drzewa z sobą zwierały. Obok świerku modrzew stać nie lubi, przeciwnie dobrze mu jest obok dębu i innych drzew liściowych.

Użytki z drzewa modrzewiowego są ważne; równie ono wytrzymuje w wilgoci i suszy. Może być korzystnie użyte na pale, na wały do młynów, w czem jest lepsze od dębu. Używa się na drzwi, ramy do okien, podłogę, na maszty okrętowe i w ogólności do wszelkiej budowy. W różnych rzemiosłach, jakoto w stolarstwie, tokarstwie, kołodziejstwie, modrzew trzyma pierwszeństwo przed innemi drzewami; na gonty szczególniej jest przydatny. Co do opału nietyle jest przydatny jak inne drzewo, jednak daje wiele ciepła, a ma tę niedogo-

dność, że w paleniu się bardzo trzaska. Modrzew był przedtem używany do malowania; kilka obrazów Rafaela (sławnego malarza włoskiego) na tem drzewie było malowanych. Jeżeli się w modrzewiu świdrem dziurę wywierci w maju, wtedy aż do sierpnia można otrzymać kilka funtów żywicy modrzewiowej, koloru blado-żółtego, przezroczystej, zapachu balsamicznego; służy ona do kadzenia i tę często za balsam peruwiański poczytują. Modrzew daje tak zwaną *terpentynę wenecką*. Z igieł i młodych pączków w końcu wiosny występuje słodki sok, który po skrzepnięciu okazuje się w kształcie drobnych ziarn; te ziarna nazywają *manną bryańsonką*, i ta ma skutki takie jak *manna kalabryjska*, która wypływa przez nacięcie jesionu włoskiego. Grzybek na modrzewiu rosnący (Boletus laricis), zwany w aptekach *modrzewiową gąbką*, był dawniej używany w medycynie.

Dla dokończenia historyi tego ważnego pod wszelkim względem drzewa, dodamy jeszcze i tę wiadomość, że w ostatnich czasach przed trzydziestu laty, w lasach sandomierskich i krakowskich wybrano jeszcze kilkadziesiąt sztuk wyniosłych modrzewi, a wyrobione z nich belki znacznej grubości użyte zostały w budowie wielkiego teatru w Warszawie.

Obrazki

z życia ludu Litewskiego.

III.

—

Kiedy przy rannym pacierzu powtarzamy wyrazy modlitwy Pańskiej:

Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom, zdaje się nam, że te słowa i myśl w nich zawartą pojmujemy dokładnie. Ale dotąd może nikt piękniej i dokładniej nie wytłumaczył tych słów, jak prosta Litewska wieśniaczka, następującym faktem:

Anna Sierejczanka (żmudzinka) zostając przez lat kilka we dworze swoich panów, była nieraz w konieczności pielęgnowania chorych, i takiej nabyła w tem w prawy, a nawet sławy, że nikt na wiosce nie zasłabł, żeby natychmiast nie wezwano Anny, jakby jakiej Siostry Miłosierdzia. W czasie cholery powierzonym jej był domowy szpital; jej gorliwości i staraniom niejeden winien był swe ocalenie.

Przed kilką laty zachorowała w wiosce kobieta. Wrzód jej (zdaniem biegłego lekarza) nie mógł być wyleczonym inaczej, jak przez wyssanie go ustami. Ale na taką operacyę, wymagającą odwagi i miłości nie znalazł się nikt pomiędzy otaczającymi chorą; każdy miał wstręt i odrazę, i chora była w niebezpieczeństwie utracenia życia w braku odważnego serca. Jedna tylko była kobieta zdolna do takiej ofiary, to jest wzmiankowana Anna Sierejczanka. Ale na nieszczęście owa chora potrzebująca ratunku, była się naraziła nieraz na gniew Anny; żyły one z sobą w niezgodzie, nikt zatem nie śmiał wzywać Annę i prosić jej o pomoc, od której wzdrygały się krewne i przyjaciółki. Anna dowiaduje się z boku o niebezpiecznej chorobie swojej przeciwniczki, i jedynym sposobie ratunku, jaki pozostaje, a zapominając w tej chwili swej nienawiści i nie zastanawiając się nad tem, że ten obowiązek należy się od bliższych, idzie do chaty, do której póki jej przeciwniczka była zdrowa i szczęśliwa, postanowiła nogą nigdy nie wstąpić, i bez długiego namysłu, z prostotą, która cechuje wszystkie poczciwe czyny, poświęca się na podwójnie trudną i przykrą kuracyę. O! bo natenczas miłość Boga i bliźniego w sercu tej zacnej chrześcianki była silniejszą nad wszystkie miłości ziemskie; silniejszą od miłości matki, poświęcającej się dla dziecka, bo to dziecko choćby nawet było niedobre, ale zawsze jest jej własnem dzieckiem, silniejszą od miłości męża lub żony, bo oprócz przywiązania, które osładza i ułatwia wszystkie obowiązki, jest jeszcze przysięga, która obowiązuje i łaska Sakramentu, która dopomaga. Annę nic nie obowiązywało, nic nie zmuszało, i nic nie osładzało jej poświęcenia, nic, oprócz miłości Boga, z którą *wszystko łatwe*, *wszystko lekkie*, jak mówi Sty Paweł. Zdawało się, że poczciwa Anna wraz z chorobą wyssała z piersi swej nieprzyjaciółki cały jad nieprzyjazny, który je dotąd dzielił i różnił z sobą, a darząc zdrowiem i życiem swą przeciwniczkę, wyssała z niej miłość ku sobie, a raczej przez usta własne wlała w nią tę miłość, którą sama była przepełniona.

Wdruk. J. Ungra.—Wolno drukować.— Warszawa d. 26 stycznia (7 lutego) 1859 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*